Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 26. Poznań, dnia 29. Czerwca. 1840.

Literatura zagraniczna.

Les Mississipiens,

par George Sand.

Umysł kobiety, jakkolwiek ukształceniem i genialnością wysoko się podniesie, zachowa zawsze płciowość swoją. Z naturalnego składu ciała kobiecego wypływa także umysłowość, owa potęga duchowa, złożona z wrażeń, uczuć i myśli. Jak po owych drobnych i delikatnych kosteczkach i muszkułach obleka się piękne ciało niewieście, i choćby z czasem twarz przez pracę i trudy zmężniała na rysy grubsze i cięższe, nigdy po niéj włos, znamie męża, nie porośnie; podobnie w utworach białogłowiego pióra dojrzysz szkielet drobnych kobiecych kości, a w zewnętrznym ustroju, choćby codzień na męski model zakrojonym, przebija się ruch, rzut, postać niewiasty. Rzekłbym, że i w sztukach pięknych jest płciowość. Mównice, z których pierś silna, silniejszą jeszcze myślą, obradując, narody porusza, przypadły na mężczyzn. Poezya, poczynając przez liryczność, to jest wylew uczuć, może być męską i żeńską; gdy dojdzie do dramatu, owego szerokiego pola sławy, czynów i działań na widowni świata, staje się wyłącznie męską. W tragedyi dźwiga człowiek cały ciężar losu, jak Atlas grzbietem gór ogromy podpiera, a na to atletycznych sił potrzeba. Pojdzież tam kobieta długowłosa w zapasy? Poznała to dobrze pani Dudevant, pisząc dramat, którym jest najświeższe jéj dzieło: »Les Mississipiens.« Genialne jéj pióro nie kreśli tu olbrzymich pomysłów, na równie olbrzymią całość tragedyi, bo dziwacznie olbrzymowi w kobiecym stroju, i dawna bajka miała już tyle taktu, że nam nie prawi o olbrzymkach, ale o olbrzymach Tytanach. Z drugiéj strony omija także komedyą lżejszéj pracy, choć nie lżejszego talentu. Bo choć śmiech i sarkazm częstszy na gładkich usteczkach, niż na ustach pod wąsem; to jednak, jak nie stósownem byłoby dla niewiasty karcić błędy i wady ludzkie z kazalnic lub mównicy, równie opacznem wydawałoby się, gdyby je wyszydzała i wyśmiewała ze sceny. Autorka Spiridyona umiała uniknąć ową Scyllę i Charybdis; przemkła się łodzią geniuszu pomiędzy niemi, i nie wpłynęła ani na wzburzone namiętnościami fale, ani na spienione sarkazmem. Jéj dramat, zwany »Proverbe«, jest z gatunku tych sztuk, które Niemcy nazywają: widowiskiem (Schauspiel). Nie ma w nim wzniosłości, ani dowcipu, ale jest zainteresowanie; obraz mozaikowy życia z pięknie nałożonych kolorów. Oto taka jego osnowa:

Prolog przenosi nas w czasy, rzadkiego po ów wiek zjawiska, arystokracyi kupczącéj we Francyi. Wycieńczona długiemi i kosztownemi wojnami Ludwika XIV., trwoniąca majątki na rozkosze życia i wystawność, widziała swój upadek; a jak tonący brzytwy się chwyta, kłaniała się, i szła w braty z bankierami i żydami, począwszy od króla. A gdy i to nie pomogło, zrzuciła jawniéj pychę z serca, chwyciła się sama spekulacyi kupieckich, wyrabiała sobie monopole na cukier i kawę, na handel skór, na kupczenie mydłem i świecmi. W tych to czasach krytycznych żyła markiza de Puymonfort, wdowa z córką jedynaczką Julią, i został jéj się jeden tylko przyjaciel domu, Duk, takoż zrójnowany na mieniu, dawny adorator markizy, kiedy jeszcze była dwadzieścia lat młodszą. Widać, że kieszeń jego dawna ta przyjaźń bardzo ciężyła, bo poradził markizie wydać córkę za bogatego bankiera Samuela Bourset, czysto żydowskiego pochodzenia, przyjaciela swego, jak arystokraci potrzebowscy nazywają wierzycieli swoich, choćby żydów. Dała się namówić Julia, wyuczona w teoryi matki, że mąż dla żony jest tylko parawanem, ażeby ją szkodliwy wiatr opinii nie zaleciał. Kochała kuzyna swego, młodego *chevalier* Leonsa, ale goliasza; trzeba więc było go opuścić. Od ołtarza wraca z matką do siebie, nie do męża, aby tam wolna jeszcze od objęć mężowskich, miłego uściskać. Już się ma na to, żeby mężowi rogi przyprawić. Ale trafiły na swego. Samuel przebiegły, przyjechawszy po żonę, od razu przeniknął rzecz całą, i w téj saméj chwili

plan ułożył, żeby gacha wyprawić do Ameryki. Posłużył mu ku temu wexel Leonsa, mocą którego mógł go każdego czasu kazać aresztować. — Wyborna cała ta scena, jak owa nasadzona przez matkę Julia do rządów mężem, i nie cierpiąca go prócz tego, nie długo słucha jego rozkazów. Sama musiała pozwolić na wyjazd kochanka.

Samuel. Tak pięknie, mój aniołku. Bądź spokojna; żadna krzywda się twojemu miłemu kuzynkowi nie stanie. Nie wymagam nawet, by mi dług swój zapłacił. Daruję mu go. Ja hojny jestem, gdy mi tak interes mój każe. Ale trzeba, aby dziś jeszcze wyjechał, i to natychmiast.

Julia. Niech i tak będzie. Ale zapowiadam panu, że to po raz pierwszy i ostatni poddaję się woli jego.

Samuel. Mylisz się kochaneczku, i owszem poddasz się każdéj mojéj woli; i tak naprzykład proszę cię otworzyć te drzwi. *(Julia obrażona mierzy go okiem pogardy i dumy.)* Jeżeli ich nie otworzysz, to ja otworzę okno, zawołam służbę moją, i każę aresztować kawalera ukrytego w pokoju markizy!

(Julia pomięszana postępuje ku drzwiom i otwiera, Samuel za nią w krok, mając na oku każdy jéj gest i poruszenie. Markiza wraca z pokoju swego, gdzie ukryła Leonsa, patrzy to na córkę, to na męża, nareszcie z miny naraz tak skromniutkiéj Julii zaczyna się śmiać do rozpuku.)

Julia. O mamo! nie wśmiech mi wcale!

Markiza. Cóż w tém złego, moje dziecie? *(śmiejąc się wciąż.)*

Samuel. Nie prawda, że to rzecz śmieszna? a pan Leons?

Markiza. *(Zdziwiona)* Jak to?... pan Leons?... *(wpatrując się przez czas niejaki w Samuela, nareszcie wpada w śmiech jeszcze większy.)* A kiedy tak, to przewybornie! Mój kochany zięciu, *(podając mu rękę)* wracam ci cały mój szacunek!

Julia. Ah! to okropnie! *(blednieje i chwieje się).*

Samuel. *(Z cicha do Julii wspierając ją)* Przecie nie myśl mój aniołku, iżbym się na tych mdłościach znać nie miał! *(Głośno)* Moja szanowna mamo, mam ja więcéj wychowania, niżeli mi może przypisujecie. Leons chce odjeżdżać. W chwili wyjazdu pragnę ulżyć sercu jego. .... On rozkochany w Julii! .... I nic w tém dziwnego. Sądząc z tego, co mi Julia powiedziała i przyrzekła, nie mam przyczyny być zazdrośnym. I owszém, życzę sobie, aby się pożegnali z sobą tu w naszéj przytomności, nie robiąc tajemnicy z uczuć swoich.... Niech mama będzie łaskawa, poprosić tu pana Leonsa.

Markiza. Jakże Julio?

Julia (waha się, ale spotkał ją przenikliwy wzrok męża, zmusiła usta do uśmiechu i rzekła) Niech przyjdzie!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Karpaty i klasztór Bielański. *)

(Odpowiedź na »Skargi Drzew«, poema E. Wasilewskiego.)

Już dniało, a księżyc blady,
Między gwiazdy gasnącémi
Swe ostatnie zbierał ślady,
Uchodząc spiesznie z téj ziemi.
Cisza w naturze oznajmiała światu
Tę uroczystą chwilę przesilenia,
Gdy z wonią lilii i akacyi kwiatu
Ostatnie nocy ulatują tchnienia.
W żeźwiącym rosy ukąpany chłodzie,
Śpiący wśród cieni zbudził się poranek;
W czystéj Dunajca przejrzawszy się wodzie,
Zorzy rumieńcem ukrasił gór wianek.
Na znak ten spieszy całe przyrodzenie
Twórcy ofiarę uwielbienia składać,
Ptaszki milionem himnów dziękczynienia,
Kwiaty kielichy z kadzidłem rozkładać.
Niejedna dusza pojąc się roskoszą
Uczuła świętą, wznoszącą tęsknotę;
Niejedne oczy łzy wdzięczności roszą,
Usta najświętszą wspomniały Istotę!..
I już na wschodzie słońca promień złoty
Pogodnym ziemię powitał uśmiechem,
Po wzgórzach brzozy z łez otrząsły sploty,
Skały płacz owiec podrzeźniły echem.
Barwą nadziei niwy nadwiślańskie
Pokryte, — do gór śmiały się zdaleka;
I nawet czarne jodlice Bielańskie
Powiew wiosenny pozielenił zlekka.
A klasztór stary wśród tego wesela,
Z lasu odludną wychyliwszy głowę,
Przez błonia, góry, lasy, łąki, ziela,
Taką do karpat prowadził rozmowę:
»Gdy wszystko Maju oddycha roskoszą,

*) Wiersz ten nadesłany mi przez jednę z młodych literatek Galicyi, zasmuconéj bez wątpienia następnémi wierszami mojego poematu:
Nie, — Galicaynki nie nucą tak,
Tak żaden, żaden nie nuci ptak;
Bo ja znam dziewcząt i ptaków śpiewy,
Dźwięki bez myśli — błyszczące plewy! — itd.
przesyłam Panu, szanowny Redaktorze, do umieszczenia w Tygodniku. Autorce tego wiersza składam podziękowanie za ujęcie się za swojémi siostrami i za tak ładną poezyą. Nie jest to wcale błyszcząca plewa tylko. *E. W.*

»Czego me siostry pokryte obłokiem,
»Nad poziom głowę obojętną wznoszą
»Dumném na północ poglądając okiem? . .
»Czyż waszéj zimnéj, śmiertelnéj odzieży
»I promień słońca wiosny nieprzebije;
»Czyż lód, co skałą na piersiach wam leży,
»Spokojnie wszystkie wulkany przeżyje?«

Tatry.

Łza bryłą lodu na piersiach nam skrzepła;
Ażeby na dół pociekła strumieniem,
Nie majowego potrzebuje ciepła
I nie pod wschodnim stopi się promieniem!

Klasztór.

Jakiegoż ciepła więc potrzebujecie,
By wasze łono rozgrzało lodowę?

Tatry.

Znaszże ty ciepło południowe w lecie,
Znaszże ty starcze upały Lipcowe?
Ta bryła lodu co na piersiach skrzepła,
Żeby w dolinę spłynęła strumieniem,
Południowego potrzebuje ciepła,
I pod Lipcowym stopi się promieniem!
Wszak wiesz od dawna, że już od natury
Tak nieszczęśliwe nasze położenie,
Iż wiecznie śnieżne nosimy odzienie,
W głowę grom bije, zawadzają chmury!
Lecz w łonie naszém życie krąży biegiem,
I tam się znajdą woniejące zioła,
Chociaż powierzchnia pokryta jest śniegiem,
Mróz głębi serca dosięgnąć nie zdoła!
Przecież to nie wam, o! nie wam przystało,
Karpackie siostry potępiać, o! Bracie,
Wszakżeśmy jednym duchem tchnące ciało,
Jak dzieci w jednéj urodzone chacie.
My wam od wieków tworzymy przedmurze,
O pierś którego pęd wiru straszliwy,
Najpierwszych gromów zwykł rozbijać burze,
Nim je podołał pchnąć na wasze niwy!
Znamy myśl waszą, skargi waszych drzew,
Co plewą nazwały córek moich głos,
Co ptaków karpackich potępiły śpiew,
Choć wszystkich udziałem jeden smutny los.
Łatwo narzekać i pieśń żalu nucić,
Gdy gorycz na wskroś duszę nam przejmuje!
Lecz skrycie cierpieć, w cichości się smucić . . . .
Taić nadzieję, którą serce czuje! . . .

Klasztor.

Więc ptaka naszego żałośne kwilenia,
Drzew skargi, które nad Wisłą porosły,
Na błoniach naszych podsłuchane pienia,
Echa ciekawe aż do was poniosły?

Tatry.

Bukiet uwity z łąk ojczystych kwiatu,
Z gałązek wonnych kwitnącéj Jabłoni,
Z błękitnych piórek wdzięcznego bławatu,
Z róży rozkwitłéj na rodzinnéj błoni,
Z ziela wonnego polnéj macierzanki,
Z drobnych pachnących kwiateczków fijołka,
To są słowika waszego sielanki! —
Ale pomiędzy kwiat wonny i ziółka,
Wcisnął się w środek mały liść pokrzywy;
Tych, co najmocniéj woń bukietu czują,
Pienia słowicze głęboko pojmują,
Dotknął boleśnie, poparzył złośliwy! . . . . .

Umilkły głosy, — a łza bólu sucha
Od łona góry oderwana z jękiem,
Jedna z łez skrzepłych, w kształcie lodu, krucha,
W parją dzwoniąc — runęła ze szczękiem! . . .

w Galicyi 1840. r. *Julia G***.*

Obraz historyczno-charakterystyczny Polek XVI. wieku.

Dziewica i młoda mężatka.

Wymagano od białejgłowy, ażeby każdy jéj postępek był z pokorą a ze wstydem złączony, gdyż te szczególniéj dwie cnoty dziwnie ją zdobią.[1]) Kobieta powinna była być dzielną i chwatką, jak huzarka,[2]) a cichą jak synogarlica, i wiedzieć o tém, gdzie i jak zażyć świata należy. Polskie kobiety nie będąc tak uczone jak włoszki, nie mniéj jak one były misterne w rzeczach dotyczących się miłości.[3]) Przyzwoitość i cnota kierowały je w téj mierze, ztąd urosła przypowieść, że dla Polek jest oko w miłości wodzem.[4]) Za takim to przewodnikiem wiedziały dobrze, jak i kogo miłować mają. Uważano, że one nie są do miłości skore (bestliwe), przeto Hieronim Łaski, wojewoda Sieradzki, raz przy obiedzie zażądał czegoś od Boga dla większego ciepła Polek. Uważano i to, że się z miłością nie kryją, będąc tego przekonania, że z tém tylko, co jest złe, ukrywać się należy. Atoli tenże sam postępek Polek znać dawał dostatecznie, że umieją wybór robić w miłości, miłując tych jedynie, ku którym raz skłoniły serca swoje, godnym ich swej miłości uznawszy. Skoro raz ludzie rozgadali, że się kobieta w kim rozmiłowała, już ona ku niemu swoje skłoniła chęci, chociażby też i dla tego, ażeby jako lekkomyślna nie poszła na obmowę u ludzi. Dzielność charakteru Polki nie tylko wykazywała się w panowaniu nad własném sercem, ale też szczególniéj w mądrém prowadzeniu gospodarstwa domowego, i wyborze stósownych dla swojéj płci zabaw. Te niekiedy również były rycer-

---

[1]) Gorn. Dworz. str. 234.
[2]) Ks. Fabrycyusz w kazaniu na kolędę.
[3]) Gorn. wstęp do Dworzan.
[4]) Gorn. Dworz. str. 298.

skie, jak zatrudnienia mężczyzn. Górnicki znał wiele białychgłów, które mieczem i oszczepem tak dobrze, jak mężczyzni umiały robić, które konia dosiadały i jak najlepszy jeździec toczyć nim wiedziały.[5])

Sławne były w całym świecie Polki ze swojéj piękności, tém sławniejsze, gdy wiedziano o tém, że w téj mierze wybredni są Polacy, i że za piękną kobietę uważają tylko, która się powabami duszy i ciała odznacza. Obadwa te przymioty opisując Rej,[6]) tak nucił:

Bo acz jest rzecz osobna kiedy przyrodzenie pięknie,
Pięknie więc y kstałt komu y urodę mieni,
Iż cudna twarz błyszcząc się rumianem z białości,
Oczy k' temu okażą rozliczne wdzięczności.
Krok, pochod, kstałt, postawa i inne przysmaki,
Okazują zacności jednak jakie znaki.
Lecz tho przedsię bez cnoty na głogu jagody,
Bo gdy się do nich wspinasz mnimasz by na gody,
A no przed się głog drapie y jagoda twarda.

W szczególe tak się wyraził tenże[7]) o piękności kobiety. »Piękną jest ta kobieta, (mówi on) która dobrze jest rosła i nie jest członków krzywych, która nie lata myślą po powietrzu, dziwnych kołek nie kreśląc sobie we łbie.« Dokładniéj rzecz tę wyłuszczył Jan Kochanowski[8]) wdawszy się w drobne szczegóły. Podług niego dziewka ta piękną jest, któréj kosa (warkocz) piękna, twarz mięszana jak kwiatki lilią i różą, nos jak sznur upleciony (nie zadarty), oczy gładkie jak marmur, a czarne jak węgle, brwi wyniosłe i czarniawe, usta koralowe, perłowe zęby, szyja i pierś pełna, ręka biała. Piękność taką chwalono w piosenkach nie tylko wtedy, kiedy kobieta jeszcze była panną, ale nawet i wtedy, kiedy już mężatką została:

Z wdzięcznego oka promień równy słońcu bije,
A z okrągłéj wynika biała róża szyje;
Włos udatny przechodzi złoto, a rumiana
Warga jakoby właśnie w purpurze zmaczana,
A gdy usta otworzy cukrem nakrapiane,
Muszą się serca topić choćby ołowiane.

Po ślubie troskliwiéj jeszcze, jak oka w głowie przestrzegał tego mąż zazdrośny, aby mu tak drogiego nie wydarto skarbu; tail go przed światem, nie chcąc widokiem jego wzbudzić zazdrości w sąsiadach. Miał zawsze na pamięci piosenkę dawną:

Nie każdy zrozumie,
Co biała płeć umie,
Wyimie bokiem sadło,
Gdzie zgodliwe stadło.

[5]) Gorn. Dworz. str. 219. 234. 299.
[6]) we Wizer. 4.
[7]) we Wizer. 60.
[8]) Dz. I. str. 267. 268.

Ale trudno było ukryć oku, co z powabów i wdzięków słynęło w całéj krainie, przedmiotem będąc życzenia samych nawet monarchów. Z tego powodu nuciła piosnka stara:

Patrzajcie miłość co się ledwie zrodzi,
Już w łykach wielkie Bohatery wodzi.
To najdziwniejsza, że czepiec pleciony
Przechodzi czasem Sceptra i Korony.

Mimo to zgodliwe były u nas stadła; bo Polki lubo wielce ubiegały się za tém, ażeby po ślubie w inaksze kleszcze ujęły i osiodłały swych mężów, tudzież, ażeby w domowém zaciszu rządu z ich tylko ręki patrzyli słudzy, oczy i uszy natężone mając na to, jakby wielowładnéj pani rozkazom uczynili zadosyć: wszelako cnoty i wierności małżeńskiéj przestrzegały święcie. Cudnéj urody, a do tego posażną żonę pojmując mężczyzna, z pewnością rachował na to, co stara opiewała piosnka:

Srogi to zapał przy urodzie kopa!
W popiół obroci kamiennego chłopa.
Ty do małżeństwa, jeśli masz ochotę,
Brakuj tym wszystkim, a obieraj cnotę.

To jest, że wielu będzie miał zazdrośników, ale cnotliwą i bogobojną małżonkę, na któréj pomoc i radę może w każdéj rachować dobie.[9])

Polacy starali się o to, ażeby ich żony zawsze były czémś użytecznem zajęte, przypominając sobie ze starych dziejów, że gdyby Penelope nie tkała, a Lukrecya nie była przędła, nie byłyby obiedwie zachowały poczciwości. Nie dozwalali mężowie do swych żon przystępu niepotrzebnym babom, szczebiotliwym i wszetecznym sąsiadkom, tudzież biretom (księżom), którzy dla tego zakazali sobie małżeństw, ażeby się cudzémi tém wygodniéj opiekować mogli. Nie chcąc tego, ażeby ich żony zostawały samotne, dobierali im za towarzyszkę poczciwe białogłowy z rodu, ciotki albo stryjne.[10])

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Rzut oka w domowe życie kilku z dawnych pisarzów naszych.

(Dalszy ciąg.)

Nic nie ma pospolitszego nad złe zrozumienie potrzeb ludzi i tego, co im do szczęścia potrzeba — rzadko kto kogo pojmuje, każdy swoją miarą szczęście chce dla drugich wydzielać, i jak nikt mieniaćby się na cudze niechciał, tak nikt innego nad swoje drugiemu nie

[9]) Wszystko dosłownie wyjęto z broszury pod tytułem: Złote jarzmo małżeńskie.
[10]) Rey, wiz. 60.

zaleci. Ileż to omyłek z tego narzuconego ludziom losu i szczęścia. Napróżno J. Kochanowski chciał się na wieś usunąć, przyjaciele i tam go ścigali ofiarami swemi, talenta jego na większym teatrze, na wynioślejszém chcąc widzieć stanowisku. Jan Zamojski wyrobił mu u króla i przysłał przywiléj na kasztelanię Połaniecką. Godna jest uwagi odpowiedź poety, który wierząc w swoje wieńce poetyczne, innych już nie żądał, i czuł, że go już żadne dostojeństwo wyżéj nie podniesie. Podziękował więc obom i odpowiedział skromnie:

Nie chcę wpuścić do mego domu dumnego kasztelana, aby tego, co zbierze Kochanowski, nie zmarnował. Jeszcze mu raz wojstwo Sandomirskie ofiarowano, a że ten urząd do niczego prawie nie obowiązywał, nie odrywał od pokoju domowego i pracy, przyjął go nareszcie. Był to pierwszy i ostatni.

Tu na wsi — z przyjacioły, na biesiadach umysłowych, na lukubracyach poetycznych, na tyle razy wyśpiewanych dumaniach i rozmowach przy dzbanie pod lipą swoją, przeżył kilkadziesiąt lat spokojnie, liczną otoczony familią. Miał bowiem sześć córek i syna. Jedna z nich, Urszula, śmiercią swoją, jemu ciężki smutek, nam piękne i prawdziwie z uczuciem pisane elegye przyniosła. Umarł w 52gim roku życia (1585 r.), gdy przed królem Stefanem stawać miał w sprawie Podlodowskiego, zabitego od Turków, skutkiem gwałtownego wzruszenia apoplexyą rażony.

Zdaje mi się, że w niczém tak, jak we Fraszkach, nieprzebija się życie prywatne Kochanowskiego. W nich to, i tę ulubioną lipę, pod którą siadał z dzbankiem pisanym, i jego postronne miłostki szczerzéj i otwarciéj i jego przyjaźnie biesiadnicze widziemy żywo odmalowane — przyjaźnie i przyjaciele, z których śmiał się i żartował sam pierwszy — w nich to występują i pan Konrad milczący, co u stołu jeść tylko umie, i Jost, co u Kochanowskiego pieniędzy pożyczał, a za to fraszki jego chwalił, i pan Kos, o którym pisze:

wczoraj pił z nami, a dziś go chowamy,

i krytycy, jak p. Walek i p. Jakób, z których jeden gani fraszki, że są fraszkami, drugi, że są krótkie, — i mały Pawełek, któremu radził poeta wystrzegać się żórawi, aby go za pigmea nie wzięły, i mały Mateusz z wielkiemi wąsami, i doktór Hiszpan, do którego po pijanu chodzili biesiadnicy do łoża z flaszą, aby go trzeźwo śpiącego nadedniem upoić, — i p. Chmura wytrwały na przycinki, którego wypadek w kałuży pod kuchnią unieśmiertelnił poeta, i ów p. Slasa, co miał tak długi nos, że mu radził, stanąć tylko na słońcu, otworzyć gębę i służyć za kompas improwizowany, i głupi Wojtek, nieznośny gaduła, i łysy Bartosz z hiszpańską brodą, i schorowany Petryło, co jeszcze koperczaki stroił, choć już ledwie chodził, i pijak Mikosza, i skąpiec Marek, i muzykusi Bekwart i Węda, i błaznowie, jak 80letni Gąska, i doktorowie Montanus, Adryan i t. d., i owe Kachny, Anny, Barbary, Zofije, stare baby i młode dziewki, i owe panny harde i zepsute duchowieństwo, i uczeni ślepo w nauce uwięźli, a nadewszystko miernicy.

Widać tu życie poety w domowém zaciszu, ale niespokojne od natrętów, których tak często przeklina, od biesiad bez końca i pijatyki niepomiernéj, kończącéj się plastrami, kalectwem, śmiercią jak Jędrzeja Zelisławskiego, biesiad, które czyniły karczmę z dworu polskiego szlachcica, wedle słów poety. Lecz razem przegląda gdzieniegdzie życie ciche, spokojne, prawdziwie wiejskie, a nadewszystko żadnémi obowiązkami posługi i zatrudnień nieskrępowane.

Łukasz Górnicki, którego spolszczony Castiglione jest pomnikiem ciekawym dla historyi obyczajów, gdyż go za proste tłumaczenie uważać nie należy, spędził życie, dosługując się starostwa na dworze biskupa Maciejowskiego i króla Augusta, w ciężkich trudach kancellaryjnych, na posyłkach z listami ważniejszémi w różne strony. — Takie życie rozerwane, a pełne suchego i zimnego zajęcia, wsysając w siebie powoli nie tylko użyte godziny, lecz i resztę odpoczynkowi poświęconych, nie mogło być dla pisarza stósownèm — dla tego też Górnicki mało zostawił dzieł, a i w tych znać niezupełnę swobodę umysłu. Jak z tém życiem u dworu jednakże umiał on godzić zamiłowanie w czytaniu, a raczéj jak każdą ubiegającą chwilę łapał, aby ją użyteczną uczynić, dowodzi ciekawy szczegół, w jego dedykacyi tłómaczenia T r o a s Seneki znajdujący się.

Wymienia on tam, iż jadąc na wozie z Kamiennéj do Grodna, czytał ją naprzód z Piotrem Wiesiołowskim, swoim przyjacielem, (człowiekiem sławnym z nadzwyczajnéj siły). To może być dowodem, jaki był zapał do czytania w XVI. w. nawet między dworaki, których tyle spraw potocznych zaprzątało. Zresztą mimo pobytu ciągłego na dworze, a na dworze, który uchodził za zepsuty, w Górnickiego pismach nie znać Machjavelstwa charakteru i zasad — owszem jest wszędzie staroprosty i naiwny.

Życie Orzechowskiego było ciągłą walką i burzą; musiał opierać się władzy duchownéj z jednéj strony, z drugiéj dla usprawiedliwienia swego, targać się na reformę i bronić zasad kościoła, którego jeden z najgłówniejszych przepisów zgwałcił. Ksiądz i żonaty, z charakteru żywy i bojowniczy, ileż to burz nie przeniósł w życiu! Świadczą o tém wymownie jego pisma, w któ-

rych się rycerstwo (pisarskie) przebija z pod sukni mnicha. Nigdzie w nich jednak nie dojrzysz śladu uczucia, któreby wytłómaczyło związek przeciw prawu zawarty, zdaje się, że do tego przywiodło go, nie gwałtowne przywiązanie, lecz ta sama bojowniczość niepodległego charakteru, a może temperament (wstyd wyznać), o który się sam tak naiwnie oskarza, nie umiejąc go zwalczyć w sobie siłą moralną i przekonaniem. Orzechowski w życiu i pismach jest dziwném zjawiskiem religijno-politycznėm; trzyma się on środka lecz w taki sposób, że obie strony, między któremi środkuje, obraża na siebie. Życie jego prywatne, w pierwszéj części swojéj plugawe i rozwiązłe, tém bardziéj, że był duchownym zadziwia, w drugiéj pełne burz i zamieszek, stawia smutny obraz życia istoty, która jak salamandra starożytna potrzebuje ognia do życia — walki, aby w niéj swobodnie i stósownie do swéj natury exystować.

Naśladowcą Orzechowskiego był nieco Przyłuski, który młodość spędził na dworze Kmity, potém jak wszyscy prawie uczeni sposobiąc się do stanu duchownego, otrzymał probostwo Mościskie. Przykład Orzechowskiego, zaraza ducha czasu, skłoniły go do ożenienia i wyrzeczenia się nadziei osiągnienia wyższych dostojeństw. Do obrazu życia Reja, co je spędził na biesiadach i wesołych gawędach, Kochanowskiego, któremu spłynęło w domowém zaciszu, Górnickiego dworaka, i Orzechowskiego księdza-wojownika, dodajmy tu jeszcze kilka rysów pomniejszych z XVI. wieku, z tą uwagą, iż u nas żaden z pisarzy kawałka chleba nie żebrał, nie przedawał jeszcze swéj pracy, co się często gdzieindziéj wydarzało. Utyski pisarzy na fortunę często napotykane, tłómaczą się łatwo tém, że im nigdy dosyć. I jakby miało być dosyć tym, którzy nie są z tego świata? tym, którzy w sobie najmocniéj rozwinęli pierwiastek innego, nie tutejszego życia?

Życie Klemensa Janickiego jest jednym z częstych przykładów namiętnego życia poety. I z poezyi i z małéj liczby wieści, jakie nas o nim doszły, wiemy, iż go zbyteczne oddanie się światu zgubić musiało. Ubogi, rozkochany w swéj Elżusi, a przytém słabego i wycieńczonego zbytkami zdrowia, resztę jego w rozkoszach niedopaloną oddał namiętnie pracy, i tém się dobił. O iluż to u nas i wszędzie tak, jak on, w podwójném nadużyciu sił swoich skończyło, zużytych zbytkiem rozkoszy i pracy. Po Reju, on w charakterze pokazuje najwięcéj namiętności wchodzących w skład poety, najwięcéj niepohamowanego popędu, który, jakkolwiek bądź, jest jednym z głównych warunków doskonałości dzieł poetycznych. Ach! czemuż po polsku nie pisał!

Życie Gdańszczanina (pospolicie Dantyskiem zwanego) jest znowu dowodem, jakichby wiele prócz tego przytoczyć można, iż u nas nigdy prawie talenta bez nagrody nie zostawały. Ubogi syn piwowara, a wnuk powroźnika, po odbyciu nauk w akademii Krakowskiéj, spodróżowawszy dalekie kraje, sekretarz króla Zygmunta I., potem poeta uwieńczony przez cesarza Maxymiliana i doktor, podwójną sprawiał funkcyą dyplomaty na zjazdach i w poselstwach nadzwyczajnych, godząc ją z poezyą i pracami uczonémi — nawet na dworze Karola V. Cytuję go tu, gdyż był proboszczem Gołębskim, potem biskupem Warmińskim, i liczył się wówczas za członka polskiéj rodziny, bo pochodził z Pruss jéj podległych. Jego życie jest może jedném z najdziwniejszych na poetę. Żołnierz, jak sam powiada, potém dyplomata i duchowny, w życiu pełném ruchu, dowiódł, że umysł jego potrzebował ciągłego zajęcia, co zawsze jest znakiem siły.

Paprocki, jeden z najpracowitszych XVI. w. w Polsce pisarzy, strawił swoje życie w próżnéj walce dobijając się o niepodległość nabyciem złota, które wówczas jeszcze tak hojnie panowie rzucali uczonym. Dla tego to ożenił się z bogatą wdową, która mu życie struła, i dla tego także zaprzedał się podobno nieprzyjaciołom Zamojskich. W części poetycznéj i historycznéj dzieł jego wiele się znalazło rzeczy, które mu narobiły nieprzyjaciół (a o tych piszącym nie trudno) tak dalece, że nareszcie z kraju wynosić się musiał, w Czechach osiadł, i ztąd umrzeć dopiero do kraju powrócił.

Ku końcowi XVI. w. żył także Jan Rybiński, poeta uwieńczony; ten strawił życie nie zbyt głośne na posługach dworskich i publicznych, sekretaryacie Toruńskim i t. d. Szymonowicz, którego protegował, Zamojski, ów wielki tylu uczonych mecenas, małém się umiał kontentować, i we Lwowie rodzinnym, lub niedaleko na wsi pod Zamościem życie pędził. Był on nauczycielem Tomasza Zamojskiego. Nobilitowany, uwieńczony, w skromnéj zaciszy, jak Kochanowski, bo wedle wszelkiego podobieństwa duchowny, strawił żywot swój, jak przystało na spokojnego literata.

Ku schyłkowi XVI. w. autorstwo coraz powszechniejszém jak widziemy staje się, wojskowi nawet i senatorowie biorą za pióro, wśród szczęku oręży. Stryjkowski układa kronikę, a Gwagnin go okrada i po łacinie przerabia. O! próżno dziś go tłómaczą — obrobić nie jest to stworzyć, i myśl, dzieła główną podstawę wynaleść; wziąść czyje materyały, pracę czyją,

pot czoła, myśl duszy, cel życia, po swojemu ociąć i ogładzić — nie uwalnia od plamy złodziejstwa. Kawaler Złotéj Ostrogi postąpił w tém sobie jak zdobywca ze zwyciężonym — ale na cóż dziś tę sprawę rozsądzoną już dawno wznawiać jeszcze? Fredro wojak i senator znajduje, acz urywkami, czas do pisania historyi, wyznając w niéj wszakże, że mu czasu na to braknie, łatając się mowami i listy cudzémi. Sulikowski na katedrze arcybiskupiéj siedząc, pisze pamiętniki. Życie tych ludzi, jako pisarzy niczém się nie odznacza, pisarzami są oni tylko podrzędnie, autorstwo nie stanowi celu jedynego ich życia i wyłącznego zatrudnienia, lecz zabawkę, rozrywkę zajęcie, przyjemne.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd pism.

Powieści wielkopolskie, *przez R. W. Berwińskiego.* Tom I. W Wrocławiu. 1840.

(Ciąg dalszy.)

Są przecież dwa Bóztwa jeszcze, które żyją w powieści ludu.

* * *

Stary rybak, wykołysany z dziecka wód falą, dziwa prawi o Topielcach. — Dusze ich błąkają się w bezdennych toniach Gopla. — Nija*) czuwa nad niémi.

* * *

Któż z przyjeziornych mieszkańców nie widział owych widm fantastycznych, krążących po nad toniami Gopla — kto nie słyszał nocnego śpiewu, i téj muzyki tak dźwięcznie brzmiącéj w powietrzu, pomięszanéj z dalekiém brzmieniem dzwonów, z grą wiatrów i z szumem jeziora?

* * *

Któż nie zasłyszał o tych duchach opiekuńczych naszych źródeł — strumieni — rzek — jezior?

* * *

A Gopło przed wszystkiémi najpierwsze! Bywają noce, w których nad jego wodami gromadzi się cały ten świat nadpowietrzny.

* * *

Piękna nadgoplańska dziewica rozpowiada nieraz płochemu młodzieńcowi o Bogunce, téj nieszczęśliwéj kochance, któréj strzeże Dziewanna, bogini czystéj miłości.

* * *

Chceszli się dowiedzieć tajemnych, uroczych powieści, chceszli usłyszeć pieśni eterycznych żywiołów, chceszli ujrzeć na wód powierzchni cień téj cudownéj, nadziemskiéj istoty, — zrób naprzód Bóstwu z serca ofiarę — pokochaj i czekaj chwili przyjaźnéj.

* * *

Kiedy księżyc na nowiu zejdzie w noc wiosenną, jeszcze dzień się nie rozwiódł z wieczorem. — Zmrok otula do snu pół-świata, jak nędza, któréj nie starczyło łachmana na okrycie całéj sieroty. — Coraz się ściemnia i ścieśnia widnokrąg, ale powietrze jeszcze przejrzyste choć we mgle; jeszcze lekkie i świeże, choć przesycone wyziewem białéj lilii, która panuje kwiatom nad-goplańskim.

* * *

To chwila uroczysta! Korzystaj z niéj, synu natchnienia, i spojrzyj na to zwierciadło jeziora, w którém się geniusz miejsc tych przegląda. Twarz księżyca smętna i blada spoczywa na wygładzonéj wód szybie, jako nadzieja na łożu śmierci; — a siostry młodsze przyrodnie otoczyły je w koło i płaczą. — U stóp twoich błyszczą łzy czyste na trawie i zazieleniają murawę. — W oddaleniu ozwie się czasem ptak leśny, utuli głowę pod skrzydło i zaśnie. — Cisza — nieprzerwana cisza! . . . Tylko komary i chrząszcze wydzwaniają jeszcze hymny wieczorne; — tylko ryba zapluśnie czasem w jeziorze, roztoczy koło tajemne, które się coraz rozszerza i rośnie jak koło myśli ludzkiéj, póki się z morzem wieczności nie zleje!

* * *

To chwila uroczysta! . . . Korzystaj z niéj, synu natchnienia! . . Jeżeli walka z cierpieniem i przeciwnościami nadała duszy twojéj hartu i męztwa; maszli odwagę powierzyć się cieniom nocy i falom jeziora, niech łódka wyobraźni twojéj uniesie cię na tę powierzchnią śliską, niech żagiel myśli napięty oddali cię od brzegów téj ziemi, na któréj wszystko stradałeś, co było drogiego!

* * *

Zapomnij o świecie! — Ale strzeż się marzycielu młody, aby cię nie zaczarował wpływ duchów i widok jeziora, którego wody uśpione i ciche nęcą porzucić burzliwe morze żywota! Tam na dnie jego pokój i spoczynek straszliwy; tam ciała Topielców zasypane żwirem niepamięci; tylko oblicza odkryte i obrócone ku niebu, jakby raz jeszcze obaczyć chciały promień słoneczny; ach! bo najpiękniejsze jest życie, kiedy je żegnać przychodzi!

* * *

Zachowaj je ku lepszéj przyszłości, młodzieńcze! Śmiało więc, śmiało zawróć łódką w stronę, gdzie twarz księżyca w drżącéj się kąpie topieli — smętna i blada. — Tam trzykrotném uderzeniem wiosła rozbij szybę przejrzystą.

* * *

Zapluśnie woda — zasyczy; — w kropelki pryśnie — pianką zakipi. — Wiatr się obudzi, co spał na wałach . . . zadzwoni w chmury. — Więc lasy szumią — liścia szeleszczą — szklanny dźwięk wody chórem odbrzmiewa — ręka tajemna uderza w arfę sfer wyższych — a coraz głośniéj, donośniéj! — Leją się tony — płaczą się dźwięki i pieśń tajemna wypływa z głębi jeziora. — Słuchaj jéj — słuchaj!

Śpiew duchów nad wodami.

Chór.

Nad wodami, nad falami,
Bez początku i bez końca!
A nad nami, a pod nami
Same gwiazdy, same słońca!

Rykła burza, drży świat cały,
Człek się z wałem losu łamie!
Nas nad burze, nas nad wały
Nieśmiertelne wznosi ramie!

Głos jeden.

W jutrzni się szatę ubieram,
A karmię niebieską manną,
A myję rosą poranną,
A słońca blaskiem ocieram.

Głos wtóry.

Mieszkaniem mojém niebiosy,
A podemną ziemia klęczy,
I ołtarze moje wieńczy
W kwiaty, owoce i kłosy!

*) Nija jest podług jednych opiekunką dusz zmarłych, podług innych bóstwem złego, jak Jesse bóstwem dobrego.

Na falach wiatru gdy pędzę,
A świat ten marny obaczę,
I sprawy ludzkie i nędzę;
Zakrywam twarz mą i płaczę!

C h ó r.

On kiedy spojrzy na ziemię,
Twarz swą w żałobę ubiera;
A świat na zbrodni swych brzemię
Pogodném licem spoziera!

Głos trzeci.

Gopło zwierciadłem jest świata;
Dziś niebo jego namiotem,
A jutro wiatr niém pomiata,
Jak los człowieka żywotem.

Głos czwarty.

Dziki potok z Tatrów szczytu
W bezdenną się przepaść ciska,
Ostrosłupem do błękitu,
Pianą gwiazdom w oczy pryska.

C h ó r.

Więc kto chce szumnie zasłynąć,
Pianką sławy łudzić oko;
Musi wysoko popłynąć,
A potém upaść głęboko!

Głos czwarty.

Pożądliwy sławy szumu
Stanął młodzian nad potokiem;
Dumném na świat spojrzał okiem,
I chciał być wyższym od tłumu!

Wzgardził światem, wzgardził życiem,
W odmęt się rzucił, zuchwały!
Ja go rozbiłem o skały,
I dziś sławny tém rozbiciem!

C h ó r.

Bo kto chce głośno zasłynąć,
Pianką sławy łudzić oko,
Musi wysoko popłynąć,
A potém upaść głęboko!

Głos piąty.

Morskie oko*) patrzy z góry
Czyste, promienne, spokojne;
Pod niém wieczną toczą wojnę:
Ziemia, ludzie, wiatry, chmury!

*) Jezioro na szczycie Karpat, mające 4560 stóp wysokości, otoczone skałami granitowémi na kilka tysięcy stóp wyżej jeszcze sterczącémi. Podług gminnych podań jest ono niezgruntowane, ma podziemne połączenie z morzem, i w pewnych czasach do góry się podnosi. Nie ma przy niém żadnego drzewa, nic żywego, ani ptaków, ani płazów, a w niém samém żadnych ryb.

Morskie oko wód swych lica
Nigdy smutkiem nie zachmurza!
Ale w głębi jego — burza,
I niejedna tajemnica!

C h ó r.

Więc choć nigdy swego lica
Czarnym smutkiem nie zachmurza,
W łonie jego wieczna burza
I niejedna tajemnica!

Głos piąty.

Głupiec chciał rozumem słynąć,
I podwodne odkryć świata;
Zanurtował . . . przed stu laty,
A dziś jeszcze ma wypłynąć!

C h ó r.

Kto chce zgłębić wiedzy tonie,
Gdy przepaści jéj nie zbada,
Żywiołu jéj nie owłada;
W odmęcie myśli utonie!

Nad odmętem, nad falami,
Bez początku i bez końca;
A pod nami, a nad nami,
Same gwiazdy, same słońca!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Kitowicza *Pamiętników* wyszedł zeszyt czwarty i ostatni z przedmową i rejestrem. Cena całego dzieła 4 zł.

W tych dniach rozpocznie się druk poezyi Gustawa Ehrenberga; wyjdą w przyszłym miesiącu.

P. Raszewski, który przed dwoma laty z swém polskim towarzystwem dramatyczném zwiedził Poznań, przybędzie tu na czas św. Jański. Zachęcémy tych naszych rodaków do ile możności jak najczęstszego zwiedzania miasta naszego przez liczne zbieranie się na przedstawy, którym jako ojczystym z wielu względów pobłażać powinniśmy.

Overbeck wykończył wielki obraz, dla Frankfortu przeznaczony, wystawiający »Wpływ religii na sztuki.«

Przybył tu dziś biegły fortepianista p. Shif, dyrektor muzyki w Londynie. Gra jego zachwyciła wszystkich, którzy mieli sposobność słyszenia go, i spodziewać się należy, iż koncert, który p. Shif dnia 2. Lipca dać zamyśla, ogólnie słuchaczy zadowoli.

Doniesienie.

Przy końcu półrocza uprasza się szanownych Prenumeratorów, którzy w półrocznéj racie prenumeratę złożyli, o wczesne złożenie przedpłaty na kr. pocztamtach na przyszłe półrocze; w przeciwnym razie nie naszą byłoby winą, gdyby przerwy w nadsyłaniu numerów doznali. — Ryciny należące się do tego półrocza dodane będą w przyszłym; skoro tylko zamówione wizerunki w miejsce Czaykowskiego, którego nadesłany nam z Paryża wizerunek, z różnych przyczyn nie możemy dołączyć, nadejdą.

Redakcya Tyg. lit.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*